

Światło mojego życia... Bajka.

Moje mieszkanie nie jest na pewno nowoczesne, ani ustawne, ani też ciepłe zimą. Jest raczej nieustawne, ma krzywe drewniane framugi, skrzypiące podłogi i zimą trzeba się dogrzewać kominkiem. Strukturalnie jest nieco poddaszowe.

Ale ma też walory. W części swojej jest drewniane, przez co latem cudownie pachnie, ma mnóstwo zakamarków, półek, pomieszczeń, szafek. Dwoje ludzi może żyć w tym mieszkaniu i napatoczyć się na siebie przez cały dzień, a jak są jedнопłciowi to i całą noc. No i mieszkanie ma okna na 4 strony świata! To ostatnie zaczynam doceniać od niedawna a dostrzegłem w pełnym wymiarze dopiero w zeszłym roku. Od wschodu są dwa okna kuchni i jedno łazienki, od południa okno strychu i sypialni, od zachodu, okno sypialni, saloniku i biura, od północy okno pracowni doświetlonej trzema lampami.

Zauważyłem już w zeszłym roku, że są dni w roku, pojedyncze dni, a czasem nawet pojedyncze godziny (sic!!) w których światło słoneczne układa się w taki a nie inny sposób. Jest taki dzień w roku, w którym światło odbija się w oknie dachowym sąsiada, dokładnie w taki sposób, że w całości wpada do biura i świeci na jeden punkt na ścianie. Ten niezwykle snop światła przemieszcza się w widoczny gołym okiem sposób i po godzinie znika. Ekskluzywny spektakl narodzin, życia i przemijania....



Kuchnia 5 rano...

Albo są takie dwa – trzy dni wiosną i dwa trzy dni jesienią, kiedy to światło świeci dokładnie wzdłuż korytarza, rozświetlając go przez kilkanaście minut w zupełnie nierzeczywisty sposób. Na korytarzu ułożone są długie deski ze szczelinami. I światło rozświetla te szczeliny do najmniejszego pyłku kurzu, najdrobniejszego ziarnka piasku, które przez kilka krótkich chwil może wylegiwać się w blasku słońca. Ma po tym o czym opowiadać innym ziarnkom i pyłkom w długie zimowe wieczory.. Jakże, no jakże jest to słońce pytają inne ziarnka a ono mówi: słońce jest światłością która przeniknęła mnie na wskroś! A inne ziarnka próbują to sobie wyobrazić i wyobrażają sobie Boga.

Najbardziej jednak fascynuje mnie kuchnia. I to nie ze względu na obecność lodówki do której można nocą lunatykować. Otóż jest taki tydzień w roku. W okolicach 21 czerwca kiedy to w bezchmurny poranek słońce wpada do kuchni w sposób absolutnie nierzeczywisty. Kuchnia o 5:30 rano wygląda jakby odlewano w niej stal. Brakuje tylko snopów iskier. Piękne, poranne promienie słońca wpadają dokładnie równolegle do blatu stołu. Małe okruszki rzucają długie cienie. Złote podniecające refleksy pełzają po stalowych naczyniach. Jest to dzień wielkiej obietnicy. Dzień radości. To światło jest jak miłość, młodość i nadzieja w jednym. Jest zuchwałe i sięga daleko, ale jeszcze nic nie ogrzewa. Jeszcze nie potrafi. Już daje obietnice, choć nie wie czy je spełni. Nie wnika do środka kubka, nie rozpoznaje jeszcze co jest czym. Ono świeci niezmaconym białym złotym blaskiem i myśli że takie będzie całe życie.

Nie ma lepszego początku dnia niż usiąść sobie o świcie w takiej kuchni z kubkiem gorącej kawy, i karmić oczy światłem. Rozpoznawać w nim siebie kilka, kilkanaście lat temu. Tę radość zasnętego poranka, nadzieję wiecznego życia tu i teraz i tak jak teraz... Dom jeszcze śpi. Czasem za oknem przemknie zasnęte auto, a ja siedzę i roześmiany patrzę w to światło. I nic mu nie mówię jak będzie kiedyś.

No bo sam do końca nie wiem... A ciekaw jestem bardzo.